

Dzianowski Janusz!

Praczytałam w „Gazecie Lwowskiej” № 4-5 od 29 lutego 1992 r. komunikat Archiwum Wschodniego o konkursie na wspomnienia podczas okupacji (1939-1945). Urodziłam się w 1934 roku, więc w okresie wojny byłam dzieckiem, ale bardzo dobrze pamiętam wiele zdarzeń z tamtego okresu, a ci inni sporządzali mi niejednokrotnie relacje. Chyba te wspomnienia nie nadaje się na konkurs, raczej jako lekturę pozakonkursową. Ponieważ w mojej relacji okres ten nie objawia się nadzwyczajne wydarzenia. Nie ma w niej wydarzeń elementarboheterskich, są to proste zwykłe dni z czasu wojny, zale codienne życie jednej z wielu lwowskich rodzin. Napisałam te wspomnienia z dwóch powodów: 1) chciałam, by pozostał jakiś ślad po medoobitach lwowskiej inteligencji, 2) pragnęłam podzielić się pamięcią mojej matki, która w 1945 r. była zesłana do łagru na Urale, z którego szczęśliwie wróciła, ale dobiła ją wkrótce za czasów Breżniewa. Przy okazji zaś była chęć wyjazdu do Polski.

Na zebraniach naszego towarzystwa - TKPZL pan prezes niejednokrotnie mówił, że Polacy, przyjeżdżający z kraju mówią, że w Lwowie nie ma już polskiej inteligencji. Oczywiście moje racje, ponieważ fakt posiadania dyplomu wyższej uczelni nie jest równoznaczny z poziomem inteligenta. W moim pojęciu inteligenci to ludzie, którzy udział w życiu kulturalnym, czytający książki, chodzący na koncerty, biorący udział w akcjach charytatywnych itp. A takich ludzi jest naprawdę mało. Niektórzy są już ziekoni i tak przysposobieni obecnym warunkom, że prosto nie dają znaku życia.

Właśnie dlatego, by w kraju nie zapomnieli o tej  
garstce ludzi, proszę te wspomnienia.

Z zawodu jestem inżynierem-architektem,  
ukończyłam Politechnikę lwowską w 1957r. Nie jestem  
filologiem, więc moja polszczyzna nie jest może  
słyszalna, ciągle pełna błędów i nieścisłości. Ale  
dużo czytam, w domu słucham tylko polskiego  
radia i wczoraj tylko polską telewizję. Lubię  
teatr, koncerty, chodzę na wernisaże. A także  
piszę ot także sobie amatorskie wiersze o Lwowie  
i o tym, co cieszy i boli.

Przeżytałam kiedyś w oryginale bardzo sym-  
patyczne krótkie opowiadanie Marcela Gagneta „La gloire  
de mon père” (zdaje się, że po polsku nazywa  
się „dłuj dzielny tata”) Chciałam napisać o mojej  
matce opowiadanie pod tytułem „Moja dzielna  
mama”, chciałam zrobić to dla moich Bretonów,  
by nie zapomnieli o babci. Ale one nie intere-  
sują się literaturą ogólną, tym bardziej kaszubi-  
zacji. A poza tym ciągle brakowało mi czasu.  
I oto nadaje się sposobność opisanie codzien-  
nego życia podczas okupacji. Okresu, w którym  
moja matka wykazała tyle energii, odwagi  
i wytrwałości.

Prześlij tym, którzy zdecydują przeczytać  
to niewielkie opowiadanie.

Zamykam wyraży nacisku  
Krzyszyna Angielska



We Lwowie zamierzaliśmy dopiero w 1936 roku, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, kupić na przedmieściu mały domek z ogródkiem. Niedługo zamierzaliśmy w Brzezanach, gdzie ojciec pracował w sądzie. Ojciec wrócił się jeszcze w ubiegłym roku z centralnej Polsey, potem rodzina otrzymała w spadku jakiś niewielki majątek w Busku i przenieśli się na Kresy Wschodnie. Matka poznała będąc siostrą w Imielanach. Gdy dzieńił się miał 53 lata, a matka 22. Mama była srogo, straciła matkę w trzecim roku życia, a zkrótka potem ojca. Wychowywała ją starsza siostra. Rodzina mamy posiadała niewielki folwarczek w Imielanach. Matka, jak i cała jej rodzina, była bardzo pobożna. W młodości pragnęła poświęcić swe życie Bogu, więc po ukończeniu gimnazjum wstąpiła do nowicyatu. Gdy ojciec pracował w sądach na szczeblach bardzo mu się spodobała, prosząc rodziców, by przekonano ją do małżeństwa. Jednak matka nie chciała zrezygnować ze swych planów, zwłaszcza że konkurent był z tej podległej wieki. Ale ojciec obiecał rodzinie, że weźmie mamę bez posagu, co oznaczało, że nie trzeba będzie sprzedawać części domu, należące się matce. Rodzina poprosiła więc księdza, by on na nią zwrócił, motywując to tym, że była ona jeszcze zbyt młoda, by być pierwszą jego powołania. Ksiądz, młody człowiek bardzo, przytoczył matce ważny argument, powiedział: „Dziecko, w klątwie łatwo jest zwalczać pokusy, o wiele ciężiej zwalczać je w życiu codziennym. Będziesz miała większe zasługi przed Bogiem, jeżeli wychowasz dzieci na dobrych chrześcijan”. Te słowa zdecydowały. Matka wyszła za męża za mielibianego człowieka i nawet jeśli boka miała nie pomogła jej znosić pokornie kłopoty pożycia małżeńskiego. Ojciec i matka mieli diametralnie różne charaktery. Ojciec lubił spokój i samotność, znał kilka języków obcych, czytał różne powieści i książki w tych językach. Bełtrystyki raczej

nie lubił. Nie znosił płatek, wazyt sąsiadów, siedzący z do-  
mu jak ślimak. Matka, wychowana w liczącej rodzinie (sio-  
stra i tnej bracia) lubiła kuli, gwar, towarzysko, była energicz-  
na i wesół, miłoś kobiecie. Trudno mi było wyobrazić sobie  
mamę w roli zakonniczki, wiskus część czasu poświęcając  
medytacjom. Często mówiła ojcu: by się za miłość wyhu-  
lała, więc teraz chce siedzieć w domu. Ale ja nie chce się  
zamykać w czterech ścianach. Już zapomniawszy o tym, że chcia-  
ła zostać zakonnicą. Ojciec często mówił melodie ze zna-  
mych operetek, miał nawet cytry, na której czasem wygrywał  
dżinę melodie. Opowiadał, że gdy był kawalerem lubił biegać  
w kaniarniach i towarzysko kolegów - i zapewne ładnych  
kobiet - dodawała mama. Przed wojną rodzicom powiedzieli  
się dobrze, mieli kucharkę i służbę. Mama ubierała się  
bardzo elegancko, co widać na przedwojennych fotografiach.

To przyszedł wstąpienie 1939 roku. Wojna zastąpiła  
rodziców, jak i większość ludzi. Byli do niej zupełnie nie-  
przygotowani, bez zapasów żywności, ubrania. Na dodatek,  
na samym początku, we wstępie, ojciec został ranny.  
Co za ironia losu! Podczas pierwszej wojny światowej, gdy  
był na froncie, żadna kula nawet go nie drasnęła, był  
tylko chory na tyfus, po którym zupełnie wysyszał i z te-  
go powodu z chłodem z tego humoru mama nazywała go  
"dysę patę". Ojciec opowiadał, że na wojnie nie zabił ani  
jednego człowieka, ponieważ nie celował do ludzi, strzelał  
zawieszony w powietrze. A w ten pamiętny wstąpienie, taki pisk-  
ny i słomczany, przyszedł do ogrodu, myśląc że mały już  
się skończył (my siedzieliśmy z mamą w piwnicy) i od-  
tamtę szarpnęła zranit go w ramię. Na domach znajdowały  
się na przedmieściu, niedaleko lotniska, a z drugiej  
strony w pobliżu przechodziły tory kolejowe, niedaleko do  
oddalonego o 2 km głównego dworca. W tej okolicy  
bombardowania były najbardziej skoncentrowane.  
Pamiętam jak podczas wieczornego bombardowania  
całe niebo było rozjaśnione rakietami, które Niemcy  
zmocili na spadochronach. Piskny i straszny był to



środek, bo towarzyszył mu huk bomb i artylerii. Podziwiałem ojca, który nie bał się bombardowań. Podczas gdy ukrywalismy się z matką w piwnicy, on siedział na krawężniku i czytał książki. Był fatalistą, wierzył że jeżeli przeznaczonym ci jest zginąć, nie pomoże ukrywanie się. Śmiało, że przeszedł wojna świątowa zachartowała go, a w piwnicy był się wylgoc, bo w okopach ucbaniał się reumatyzmu. Gdy bombardowano pobliskie pickarnie „Herberg” - ludzie zaczęli wynosić stamtąd worki maki. Spółcześni zarobili: ojca i on również przenieśli do domu worki brzojsz maki. Robiono to podczas melotu. Po odwołaniu alarmu pojawiała się straż, która stelała do ludzkiej Ale gdy zrozbitych składowi Sprechera wykradano worki i spirytus, ojciec nie pozostał, zolał się wykrywać. Choć mama namawiała go, że worki można było dobrze sprzedać.

Rannego ojca zabrano do szpitala, a matka pozostała w domu sama z dwójkiem małych dzieci: ze mną i o dwa lata młodszym bratem. Musiała też nosić dla ojca jedzenie do szpitala. Dobrze, że w Państwowej była rodzina i pomagata w tych ciężkich chwilach.

Gdy 17 września Lwów zajęli hitlerzy i ogłosili, że nadeszła teraz do terytorium wspaniałego Duszka Radzieckiego, który przenieście wszystko wszystkim pracującym, matka z rozpaczą całą noc modliła się, żeby Bóg wyszedł przeklętych ateistów. Wolała już Niemców, uważała ich za bardziej kulturalnych, a ojciec, jako były urzędnik austriacki, mógłby zarobić na życie. Mógł w szpitalu, małe dzieci w domu, coż jej pozostało, jak pozwoli sprzedać srebra, porcelany, biżuterię, choć nie było tego zbyt wiele. Po powrocie ze szpitala ojciec nie mógł się przyznać, kim był przed wojną, bo zostali byśmy matychomost wyzależeni. Na szczęście nie sprzedano tego, bo już od 1938 r. ojciec był reżymista. Został więc stróżem nocnym w pickarni „Herberg”, naszonej

obecnie „Chebzarud N°1”. Ale jego pensja nie wystarczała na życie, więc mama nauczyła się żyć i tym sposobem uzupełniała budżet domowy. Marzyła do życia „Singer” kupiła sprowadzony złoty pierścionek.

Sowieci chyba mieli słabość do numerów, po wojnie wszystkie domy i przedkola zostały ponumerowane. Tak również fabryki i mniejsze przedsiębiorstwa. Wiskone ochcieli imionami wielkich wodzów rewolucji i partyjnych działaczy.

Czyżby zapożyczyli zrycosz numerowane od rytek sumiśnych zegarów - jankesów, którzy numerowali ulice? A może poprosili zabrakło im fantazji, jako że ludzie w władzy rzeczy nie posiadali nawet średniego wykształcenia.

Podczas pierwszej wojny światowej ojciec, który wtedy był jeszcze kawalerem, miał ciekawy przypadek. Jako żołnierz armii austro-węgierskiej dostał się do „rosyjskiej” niewoli i był przetrzymywany do obozu jeńców koło Samary. Gdy wojna się skończyła, jeńców odsyłano do domów. W buforze przy stacji kolejowej ojciec i kolega siedzieli przy stolek pijsze herbaty, gdy obok na wolne miejsce przysiadł się jakiś wysoki pan z bródką. Usłyszawszy, że rozmawiają po polsku zapytał po niemiecku czy go rozumieją, a gdy odpowiedzieli pozytywnie, zaczął wypytywać ojca, jako starszego, kim jest. Gdy ojciec wyjaśnił, że pochodzi z Galicji, zapytał kim byli przed wojną - właścicielami ziemskimi, fabrykantami, czyli producentami, czy też konsumentami. Ojciec miałby ufać Rosjanom, więc odpowiedział ogólnikowo - że konsumentami. Wtedy ten pan stracił zainteresowanie do rozmowy i po zupieniu herbaty wyszedł. Ojciec zauważył, że obecni przyglądali się temu panu z zainteresowaniem, więc zwrócił kelnera i zapytał tamtego kuriozycznie, kim był ten pan. „Jakiś - zwrócił kelner - nie wiecie kto kto teraz siedzi? Inaczej to sam Lenin!” Tak oto ojciec miał „szczęście” rozmawiać z wodzem rewolucji. Zupemno o tym zdarzeniu zapomniano, a teraz mama przypominała sobie i mówi do ojca z ironią: idź do